WTOREK
Nr 26 88-03-01 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NIEZWYKŁY ŚWIAT BLASZANYCH KOLEGÓW

NÖMME PROPONUJE REWOLUCJĘ

kolejny reportaż z Estonii — patrz str. 4

Matriarchat olbrzymów

(PAP). Ekspedycja naukowców peruwiańskich odkryła w dżungli w basenie rzeki Ucayali plemię, którego członkowie wyróżniają się niezwykle dużym wzrostem. Są oni bardzo gościnni i życzliwie nastawieni do obcych ludzi.

Zapewne wynika to z faktu, że dzięki niedostępności terenów, na których żyją, Indianie chronieni byli przed kontaktami, często tragicznymi w skutkach, z kłusownikami. Wysoki wzrost, silna i harmonijna budowa nie są jedynymi cechami tych „atletów" dżungli. W plemieniu tym dominującą rolę spełniają kobiety, przy czym nawet w takim tradycyjnie męskim zajęciu, jak polowanie. Natomiast do obowiązków mężczyzn należy przygotowanie posiłków i opiekowanie się dziećmi.

CO DALEJ OSMA KLASO?

Dzisiaj — 1 marca pierwszy dyżur redakcyjnego psychologa

Jak co roku o tej porze otwieramy na okres miesiąca telefoniczną poradnię zawodową „Świata Młodych". Będzie ona do Waszej dyspozycji **przez cały marzec, dwa razy w tygodniu, we wtorki i czwartki w godzinach 15.30–17.30.**

Jeśli masz wątpliwości jaką wybrać szkołę ponadpodstawową, chcesz poznać wymagania i warunki nauki — skorzystaj i zadzwoń do nas

21-47-06 (Warszawa)
w godz. 15.30–17.30

Redakcyjny psycholog poinformuje, doradzi. Kolejny dyżur w najbliższy czwartek 3 marca 88 r. o wyznaczonej porze.

Liderzy szkolnego boiska

NA KOLE NIE JEST ŁATWO

(Inf. wł.) Tomasz Pawelak (na zdjęciu) jest uczniem klasy VIIIa Szkoły Podstawowej nr 3 w Grodkowie (woj. opolskie). Jego wielką pasją jest piłka ręczna. Od kilku lat uczęszcza do klasy sportowej — specjalność właśnie „szczypiorniak". Pod okiem doświadczonego szkoleniowca Zdzisława Zielonki poznaje tajniki swojej ukochanej dyscypliny. Ze względu na niezbyt wysoki wzrost oraz krępą budowę ciała zwykle grywa na pozycji „obrotowego". Jest to bardzo ważna i jednocześnie niewdzięczna funkcja. Tomek porusza się bowiem po tzw. kole, to jest linii oddzielającej pole bramkowe od pola gry. Jego zadaniem jest rozbicie strefy rywali, znalezienie miejsca bądź do oddania skutecznego rzutu, bądź też do wypracowania pozycji strzeleckiej dla kolegów. Konkurenci traktują „obrotowego" bez pardonu. Często faulują, odpychają, szczypią, rozdzielają niewidoczne kuksańce. Zawodnik grający na kole musi unikać tych wszystkich nieprzyjemności, a jednocześnie efektywnie działać na korzyść swojego zespołu.

Tomek znakomicie spełnia swoją rolę. Silniejszym fizycznie rywalom przeciwstawia zwinność i spryt. Dzięki temu nie odniósł jeszcze poważnych kontuzji, a jego drużyna odniosła liczne sukcesy. Największym osiągnięciem chłopców z Grodkowa było zajęcie I miejsca w wojewódzkiej lidze młodzików. Tomek był jednym z najlepszych graczy w zespole. Lubiany jest nie tylko za skuteczną grę, ale także za koleżeńskość i skromność. Planuje po ukończeniu podstawówki uczyć się w technikum mechanizacji rolnictwa i oczywiście dalej uprawiać sport. **(ab)**

Fot. **M. Włodarski**

Redaguje LECH BĄK

KROK SZEŚĆDZIESIĄTY TRZECI

LISTY I TORCIK

Trochę zaniedbałem słowiczek komputerowych nazw. Już od dłuższego czasu nie objaśniałem znaczenia nowych słów i terminów związanych z mikrokomputerami. Do takiej refleksji skłoniły mnie dwa listy o podobnej treści. Oto jeden z nich:

„Szanowny Panie Redaktorze

Zwracam się z uprzejmą prośbą do Pana o wyjaśnienie mi kilku terminów i pojęć związanych z komputerem. Mam 15 lat i stosunkowo niedawno zacząłem interesować się komputerem, a terminy związane z nim bardzo często spotykam w czytanych różnych czasopismach i nie bardzo rozumiem o co chodzi. Oto moje pytania:

— jakie znajdują się magistrale w komputerze?

— co znaczy termin — monitor RGB?

— jakie są dyski komputerowe?

— co to są kody ASCII?

— jakie zadania spełnia mysz komputerowa?

Za przesłanie mi odpowiedzi na powyższe pytania uprzejmie dziękuję.

Paweł Wrembel"

Pytanie pierwsze. Zacznijmy od wyjaśnienia samego pojęcia magistrali. Każdy komputer można podzielić na trzy podstawowe bloki: procesor, pamięć oraz sterowniki urządzeń wejścia-wyjścia. Pomiędzy tymi blokami jest przesyłana informacja. Czymś, co łączy te trzy części komputera, jest właśnie magistrala (często mówi się — szyna). Mówię o szynie w liczbie pojedynczej, a właściwie należałoby rozróżnić dwie: szynę adresową i szynę danych. Po szynie adresowej jest przekazywany adres, pod który procesor coś prześle lub spod którego coś pobierze, natomiast po szynie danych przesyłane są — jak wskazuje nazwa szyny — dane z procesora lub do procesora.

Nazwa RGB dla monitora wzięła się od pierwszych liter angielskich nazw kolorów: czerwony (Red), zielony (Green), niebieski (Blue). Z tych kolorów można otrzymać wszystkie barwy — o tym powinniście już wiedzieć z lekcji plastyki. W ten sposób otrzymujemy obraz kolorowy na monitorze. W monitorze monochromatycznym jest jedno działo elektronowe, które podświetla wybrane fragmenty ekranu powodując ich świecenie. W monitorze RGB są trzy działa: jedno do koloru czerwonego, drugie do zielonego, a trzecie do niebieskiego. Każde z nich jest osobno sterowane. W ten sposób uzyskujemy na monitorze różnokolorowe obrazy.

Zasadniczo typy dysków stosowane w mikrokomputerach można podzielić na trzy rodzaje: dyskietki (dyski miękkie, floppy) dyski stałe (winchester) oraz dyski optyczne.

Dyskietka jest to plastikowy krążek w kopercie z otworami. Najczęściej spotyka się dyskietki o średnicy pięć i ćwierć cala, trzy i pół oraz trzy calowe. Koperta może być twarda (dla dyskietek 3 calowych lub 3.5 calowych) lub papierowa (dla dyskietek pięciocalowych).

W Poznajemy Komputery prezentowałem i opisywałem dysk stały. Najczęściej jest on wbudowany w komputer (dlatego określenie: stały). Jest on szczelnie obudowany, w środku jest kilka krążków metalowych, na których jest wszystko zapisywane. Od dy-

Cd. na str. 2

Mikroprocesor: I 80286.
Częstotliwość zegara: 10MHz.
Pamięć RAM: 640 KB.
Pamięć ROM: 32 KB.
Monitor: ciekło krystaliczny.
Tryby wyświetlania: graficzny: 640 × 200, 320 × 200.
Sprzęgi (interface) RS232 — szeregowy, równoległy drukarki,
Pamięć zewnętrzna: dyskietki 3.5 cala.
Przeznaczenie: komputer „na kolana".
Oprogramowanie: oprogramowanie przeznaczone dla IBM PC.
Uwagi: Komputery te pojawiły się niedawno. Moc obliczeniową mają porównywalną z dużymi mikrokomputerami typu IBM PC, jednocześnie ich rozmiary, waga pozwalają używać je, stawiając — jak zapewniają producenci — na kolanach...

POZNAJEMY KOMPUTERY

LOGOSTAR AL-20

REPORTER Świata Młodych

MAMA, TATA I JA

Nie zawsze lubię mój dom

Mam trzy siostry, mamę i tatę. Moi rodzice często się kłócą ze sobą i wtedy nie lubię mojego domu. Lecz gdy są ze sobą w zgodzie, to jest wspaniale!

Rok temu, gdy mój tata wrócił z pracy z Iraku, nie było dnia ani nocy bez kłótni. Wychodziłam wtedy z domu, ażeby pospacerować. Gdy jestem w rozterce, pomaga mi moja starsza siostra Gośka. Uważam ją nie tylko za swoją siostrę, lecz także za najlepszą przyjaciółkę. Wydaje mi się, że w tym moim domu tylko my z siostrą naprawdę się rozumiemy. Właśnie Gośkę chciałabym naśladować w życiu. Ona jest trochę inna niż cała rodzina. Jest delikatna, cierpliwa i wyrozumiała. Mogę jej mówić wszystko i o wszystkim, bo wiem, że ona mnie rozumie.

Ciągle piszę o mojej siostrze, a przecież są jeszcze rodzice! Otóż oni też są wyrozumiali, ale w innych sprawach. Pozwalają mi chodzić do kina, na dyskoteki, oglądać filmy „tylko dla dorosłych" (chociaż mam dopiero 13 lat), ale nie rozumieją takich spraw jak miłość dziewczyny do chłopaka czy na odwrót. Oni uważają, że jesteśmy za młodzi na „miłość", że powinniśmy najpierw dojść do czegoś w życiu, a potem dopiero myśleć o chłopaku i prawdziwej miłości.

Jeżeli kiedyś będę miała dzieci, to chciałabym wychowywać je tylko w części tak jak moi rodzice mnie, a w drugiej części, jak moja siostra Gośka.

Jola Walas z Piły

Nie zawsze milczenie jest złotem

Mojej rodziny (obecnie bardzo nielicznej) nie dałabym nigdy nikomu obmówić ani obrazić. Ktoś mógłby spytać: dlaczego? Chyba dlatego, że tato i babcia najlepiej mnie rozumieją.

Gdy chodziłam do podstawówki... gdy żyli mama i dziadek, czułam się najszczęśliwszym dzieckiem na świecie. Nie miałam (i nie mam) rodzeństwa i miałam zawsze, jak to się mówi, „pełny luz". Choć czasem dostałam lanie od mamy, wiedziałam, że było ono słuszne. 5 lat temu okazało się, że moja mama ma raka. Po rocznym pobycie w szpitalu — umarła. Po jej śmierci załamałam się. Dobrze się uczyłam, ale z mojej twarzy zniknął uśmiech. Przeżyłam bardzo rozstanie z moją mamą. Wszyscy mi współczuli, ale i to z czasem minęło. W dwa lata później zmarł dziadek, którego także bardzo kochałam. Zostaliśmy we trójkę: babcia, tato i ja. Nasze (a zwłaszcza moje) życie zaczęło się toczyć normalnie.

Kiedyś myślałam, że mama i tato mają takie same charaktery, ale od pewnego czasu zmieniłam zdanie. Na półrocze dostałam dwójkę. Mama na pewno skrzyczałaby mnie i przyznam, że po tym byłoby lżej i jej, i mnie. A tato po wywiadówce nie odezwał się do mnie ani słowem. Trzy dni milczenia między córką, a ojcem... Po trzech dniach wszystko wraca do normy.

W swoim życiu chciałabym brać przykład z rodziców. Mama będąc w szpitalu cierpiała przez cały rok, ale nie płakała, nie skarżyła się, choć wiedziała, jak z nią jest. Tato natomiast nie chce (czy nie może?) podnieść na mnie głosu. Woli wszystko przemilczeć. Mam szesnaście lat i dopiero teraz zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać.

MONTANA

Gdyby tylko tato...

Mam 16-letnią siostrę, no i oczywiście oboje rodziców. Mieszkam w nowym budownictwie. Mam niby wszystko: i psa, którego tak pragnęłam, i świnkę morską, i własne biurko, i słoneczny pokój, w którym jest pełno kwiatów. Każdy zapewne by powiedział: no i czego ty, dziewczyno, chcesz mieć więcej?! Ale, niestety, w tym moim pięknym życiu jest jedno „ale" i to duże „ALE". Mamę kocham bardzo, bo umie ze mną porozmawiać o moich kłopotach, marzeniach, doradzić w najcięższych sytuacjach. Taka, moim zdaniem, powinna być każda mama. Nieraz jest zmęczona, wtedy byle co może ją wprowadzić w „szał", krzyczy na nas, ale ja ją w pełni rozumiem i próbuję wszystko robić, żeby się nie denerwowała. Moja mama miała raczej ciężkie dzieciństwo. Nie będę o tym pisać, napiszę tylko jedno zdanie — miała macochę.

Natomiast tato... są chwile, w których i jego nawet kocham, ale są one nieliczne. Tato bardzo często kłóci się z mamą z błahych powodów. No i wtedy zaczyna się piekło, przekleństwa padają na mamę, a i ja niekiedy mam „zaszczyt" być tak przeklęta, ponieważ próbuję mamy bronić razem z siostrą. Nieraz tata wraca pijany i wydziera się na nas za byle co. Bardzo często przychodzi z kolegami i grają w karty do 24.00–2.00 w nocy. Jest to straszne, bo kłócą się, wyzywają itp.

Autorytetem, wzorem oraz przyjacielem moim jest jedna ukochana osoba — mama. Gdy założę rodzinę, chciałabym być dla swoich dzieci taka jak moja mama. Po tacie chciałabym mieć taką jedną cechę charakteru, której na razie ani odrobiny nie mam; tą cechą jest szacunek do pracy. Tato pracę przedkłada nade wszystko i to jest fajne. W moim domu raczej jest OK, gdyby nie tato... Lecz nigdy bym go nie zamieniła na innego, fajniejszego ojca. Kocham go. Tylko żeby przestał pić, przeklinać i grać w karty. Przecież to niewiele, wystarczy tylko trochę silnej woli...

Dlaczego wszyscy rodzice nie są cudownymi rodzicami? Czy to by im zrobiło trudność? Czy w ogóle oni o tym myślą, czy nie? Te pytania na pewno nasuwają się wszystkim dzieciom z całego świata. Niech dorośli spróbują na nie odpowiedzieć.

Chcę, żeby tato zobaczył ten list. On lubi czytać „Świat Młodych".

Kate

Chciałabym naśladować mamę

Mama, tata i cztery córki — oto skład pewnej rodziny z pozoru takiej samej jak wszystkie inne. Jednak tylko z pozoru, bo jak wszystkie inne rodziny, i ta ma swoje obyczaje i prawa.

Bardzo lubię swój dom, czuję się w nim dobrze i bezpiecznie. Nie lubię na zbyt długo wyjeżdżać i zawsze z chęcią tu powracam. Moi rodzice są zarówno dla mnie jak i dla sióstr wyrozumiali i darzą nas zaufaniem. Układa mi się z nimi dobrze i potrafimy się nawzajem porozumieć. Głową rodziny jest w moim domu tata, on decyduje o wszystkich sprawach. Czasem podziwiam mamę, że zgadza się na takie rządy taty. Dla mnie mama jest deską ratunku. Właśnie do niej, a nie do taty, zwracam się z kłopotami i problemami i z nią pierwszą dzielę się moją radością. Gdy tato na coś nie pozwala, zawsze zwracam się do mamy by go przekonała. Ona zawsze nas chroni i wyprosi pozwolenie na wyjazd czy kupno czegoś. Jednak nie musi robić tego często bo tato prawie zawsze da się uprosić. Często zdarza się, że i tato kupuje mi coś fajnego, nawet wtedy, gdy o to nie proszę. Bardzo lubię, gdy cała rodzina jest razem. Nie zdarza się to często, bo tata dużo pracuje i bardzo często nie ma go w domu. Tylko w niedzielę jesteśmy naprawdę razem. Przywykliśmy również, że wakacje też spędzamy wspólnie. Jest tak prawie zawsze. Najczęściej wyjeżdżamy na wczasy do jakiejś nadmorskiej miejscowości. Wszyscy bardzo lubimy morze.

Oczywiście w naszej rodzinie nie brak również kłótni, zresztą kłótnie nie są jeszcze najgorsze. Najgorsza jest napięta atmosfera, która panuje po nich. Chciałabym, aby w rodzinie, którą będę miała w przyszłości, jak najmniej było kłótni. Nie chciałabym również, by mój przyszły mąż był podobny do mego ojca, bo na pewno nie znosiłabym tak cierpliwie jego rządów jak mama. Chciałabym być w przyszłości podobna do mojej matki, być taka cierpliwa, i tak jak ona rozumie nas — rozumieć swoje dzieci.

E.

REDAKCYJNA POCZTA

Pewien Ernest...

Mam 15 lat i piszę w sprawie listu Nikoletty (nr 143 „ŚM"), Nikoletta twierdzi, że nie może znieść wyglądu chłopca wulgarnego i plującego. Zgadzam się z nią, bo i ja brzydzę się takimi ludźmi.

U mnie w klasie jest pewien Ernest, który jedzie na dwójach i ledwo „przeskakuje" z klasy do klasy.

Kiedyś szłam ulicą z mamą, a tu z drugiej strony nadchodzi Ernest z rękami w kieszeni i z gumą w ustach. Zamiast słowa: „dzień dobry" powiedział: „cześć, mała" i już go nie było — uciekł. Wstyd mi było za niego przed mamą, nie wiedziałam jak go wytłumaczyć. Ernest nie jest, niestety, jedynym chłopcem tak się zachowującym.

Wasza wierna czytelniczka
— **Nikola.**

Może byś zajęła się sobą?

Miła „Lisiczko", (nr 131 „ŚM") bardzo Ci współczuję. Masz rację. Twoją sytuację w domu rzeczywiście można nazwać koszmarną. Nie dziwię się też, że nie możesz się skoncentrować na lekcjach. Tak, wyobrażam to sobie...

Może dobrze byłoby, gdybyś pomyślała choć trochę o sobie? Znajdź prawdziwych przyjaciół, zacznij zbierać znaczki, może pocztówki. To zajmie Twoją uwagę i choć trochę przestaniesz myśleć o pijanym ojcu...

Zuzanna

Babcia

Bardzo chętnie czytam „Świat Młodych", a zawsze najchętniej „Redakcyjną Pocztę". Piszą do niej ludzie samotni, mający jakieś wady. Ja nie mam takich kłopotów, choć jestem trochę otyły. Mimo to mam przyjaciół, lubię sport, mam własne hobby, uczę się przeciętnie. Wszystko byłoby w porządku, gdyby... no właśnie, gdyby nie moja babcia.

Tak, tak babcia... ciągle trwa między nami konflikt, którego mam już dość. Początkowo postanowiłem nie zwracać na to uwagi, jednak to nie może tak trwać. W wolne dni nigdy nie mogę sobie pospać, gdyż moja babcia zabiera mi pościel, ciągle mi dogryza, w obecności mojej mamy mówi, że się nie uczę, że wciąż nie ma mnie w domu. Ja również starałem się jej dokuczać, ale wreszcie doszedłem do wniosku, że ta metoda jest bez sensu.

Pewnego dnia kupiłem słodycze. Jak to zwykle bywa, poczęstowałem wszystkich, sam trochę zjadłem. Resztę schowałem do swojej torby. Mimo wszystko babci to nie wystarczyło i oczywiście przeszukała cały dom, żeby je znaleźć. Robiła to tak, żebym nie mógł nic dostrzec. Cały świat mi brzydnie gdy do „akcji" wchodzi moja babcia. Błagam Was, pomóżcie mi. Już nie mogę tak żyć. Bardzo Was proszę.

Cierpiący

OD REDAKCJI: Ty masz kilkanaście lat, a babcia — no na przykład około siedemdziesiątki. Starsi ludzie czasem zachowują się tak jak Twoja babcia. Warto o tym wiedzieć choćby po to, żeby staruszkom wybaczać, traktować ich serdeczniej, a na ich „marudzenie" nie reagować lub patrzeć przez palce. Może poproś mamę, niech tak stara się organizować życie rodziny (zajęcia), żeby babcia nie często miała okazję wnikać w Twoje sprawy. Jeszcze jedno — może od czasu do czasu kupisz specjalnie dla babci jakiś batonik lub cukierki? (bs)

Cd. ze str. 1

skietek różni się krótszym czasem dostępu do danych oraz większą pojemnością.

Dyski optyczne to najnowszy sposób zapisu informacji. Nazwa bierze się ze sposobu odczytu zapisanych tam informacji: za pomocą światła odbitego od dysku. Każdy punkt na dysku może odbijać światło na dwa sposoby, co komputer może dekodować na zero lub jedynkę. Dyski te charakteryzują się przede wszystkim bardzo wielką pojemnością.

W komputerze wszystkie dane zapisywane są w postaci ciągów zer i jedynek. Te ciągi dzieli się na podciągi o długości zależnej od szerokości szyny danych. Na siedmiu bitach można zakodować wszystkie litery łacińskie oraz kilka innych znaków. Jest przyjęta pewna umowa co do sposobu kodowania. I jeśli zakodowanie liter spełnia warunki tej umowy, to mówimy, że zostały zapisane w standardzie ASCII.

O takiej porcji siedmiu bitów mówimy: kod ASCII.

A teraz trochę wiadomości o myszce. Na ekranie monitora komputerowego wyróżniony jest jeden punkt. Jeśli wpisujemy tekst, to jest to miejsce gdzie będzie wpisana litera po przyciśnięciu klawisza. Ten punkt będzie zazwyczaj zaznaczony w specjalny sposób: przez krzyżyk lub migającą kreskę lub kółko albo inny symbol graficzny. Informacja o jego położeniu na ekranie jest przechowywana w komputerze i ciągle uaktualniana. Posługując się klawiaturą możemy ten punkt przesuwać po ekranie za pomocą klawiszy oznaczonych strzałkami. Mysz służy do przesuwania tego punk bez pomocy klawiatury. Jest ona pomocna w tych programach gdzie szybkość przesuwania kursora jest bardzo istotna (na przykład programy do tworzenia grafiki). Taka współpraca to zastąpienie pewnych funkcji klawiatury innym urządzeniem — myszką.

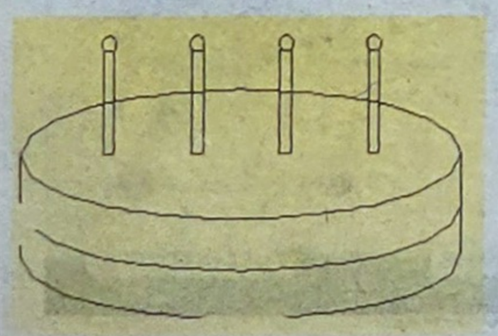

Na koniec dzisiejszego odcinka ABC coś na osłodę — słodki urodzinowy tort. Wszystkie instrukcje polskiego Logo użyte w programie są Wam znane — poza funkcją **pierwiastek**, która wylicza pierwiastek kwadratowy z argumentu. Tort narysowany jest przy użyciu trzech elips i dwóch odcinków prostych (boki tortu). Procedura pomocnicza **ELIP** rysuje elipsę. Jeśli w szkole na lekcjach matematyki uczyłeś się o elipsie to algorytm ten powinien być oczywisty, jeśli nie — powinna Ci wystarczyć informacja, że jest to spłaszczony okrąg. O tym, ile jest on spłaszczony, decyduje drugi argument. Spróbuj uruchomić tę procedurę z różnymi parametrami. Procedura **„świeca"** rysuje pojedynczą świecę, natomiast procedura **„świece"** rysuje kilka świec w zależności od podanej liczby, przy wywołaniu tej procedury. Jeśli połączysz te dwa programy (uruchomisz najpierw jeden potem drugi) to na torcie zostaną „postawione" w jednej linii świeczki. Spróbuj ustawić te świeczki w kółko.

```
oto ciastko
pod poz [-200 40] opu
elip 50 1
kąt 180 np 80
elip 50 -1
kąt 0 np 80
pw 90
elip 50 -1
kąt 180 pod np 40 opu
elip 50 -1
juz

oto elip :b :ul
przyp "a xpoz^
przyp "vp ypoz^
przyp "i ( -2 * :a / 40.0 )
przyp "f1  :b * :b
przyp "f2  :f1 /  :a / :a
powtórz 40 [ przyp "x ( xpoz^ + :i ) przyp "y ( :ul * (
pierwiastek ( :f1 - ( :f2 * :x * :x ) + .1 ) ) + :vp ) poz
zd :x :y ]
juz

oto świeca
opu
kąt 0
np 80 pw 90 np 5 lw 18 powtórz 10 [ np 4 lw 36 ] pw 18
pod ypoz ( ypoz^ + 3 )
ypoz ( ypoz^ - 3 ) opu
np 5 pw 90 np 80 pw 90 np 10
juz

oto świece  :num
pod poz  [ -205 40 ]
przyp "przes ( 400.0 / ( :num + 1 ) )
powtórz :num [ kąt 90 pod np :przes świeca ]
juz
```

TDC
ŚWIAT MŁODYCH

KLUB MIŁOŚNIKÓW JULIUSZA VERNE'A

SPOTKANIE 4

NIEZWYKŁY ŚWIAT BLASZANYCH KOLEGOW

Ruchy metalowego ramienia są precyzyjne, płynne i eleganckie. Delikatnie brzęcząc elektrycznymi silnikami robot zdejmuje z taśmy błyszczące sztabki i układa je, warstwa po warstwie, na stojącym obok wózku.

— **Maszyny są zaprogramowane w ten sposób, że chwytak może pracować w linii prostej lub po okręgu. Czujniki zewnętrzne umożliwiają ciągłą kontrolę i bezkolizyjną współpracę z innymi urządzeniami, np. tokarką czy taśmą montażową. Operacje wykonywane są z dokładnością do 0,2 milimetra. I o żadnej pomyłce nie ma mowy** — objaśnia działanie „metalowych pomocników" wytwarzanych w Przemysłowym Instytucie Automatyki i Pomiarów „MERA-PIAP" w Warszawie inż. Ludwik Szadkowski.

Niewolnicy literata Čapka

Termin „robot" został użyty po raz pierwszy przez czeskiego pisarza Karola Čapka. W wydanej w 1920 roku fantastycznej komedii „R.U.R — Robot Uniwersalny Rossuma", wprowadza on do akcji maszyny zbudowane na wzór człowieka. Automaty te są niewolniczo wyzyskiwane przez firmę, w której pracują.

Dzięki dużej popularności jaką ten utwór uzyskał, słowo robot weszło do słownika prawie wszystkich języków europejskich i oznaczało pierwotnie sztucznego człowieka. Później zaczęły powstawać różne monstra techniczne, które potrafiły naśladować czynności ludzkie. Były to jednak tylko bardziej lub mniej udane zabawki mechaniczne nie mające wielkiego praktycznego zastosowania. Prawdziwa kariera „robotników w stalowych kołnierzykach" zaczęła się dopiero w latach 60. Pierwsze roboty przemysłowe amerykańskiej firmy „Westinghouse" przeznaczone były wyłącznie do badań kosmicznych. Gwałtowny rozwój mikroelektroniki upowszechnił ich zastosowanie w przemyśle. W 1962 roku po raz pierwszy roboty zastąpiły człowieka przy taśmie montażowej samochodów „Forda".

Automaty spawalnicze, ku rozczarowaniu wielu osób, wcale nie były podobne do opisywanych przez autorów literatury science-fiction człekokształtnych urządzeń z głową, świecącymi oczami i blaszanym tułowiem, zawierającym jakieś skomplikowane mechanizmy, sterujące ruchami metalowych prętów — odpowiedników kończyn górnych i dolnych. Wręcz przeciwnie. Były to normalne maszyny wykonujące swoje monotonne działania według ustalonego programu. Większość nowoczesnych automatów pracuje na zasadach zalgorytmizowanych. Potrafią one wykonywać samodzielnie tylko te czynności jakie w ich pamięci zakodował człowiek.

U schyłku lat 70. istniało na świecie tylko kilkaset przemysłowych „manipulatorów". W 1985 roku funkcjonowały już ich dziesiątki tysięcy. Dzisiaj już blisko 40 procent prac montażowych w fabrykach samochodów jest dziełem robotów. A w takich koncernach, jak „Fiat", „General Motors" czy „Toyota" współczynnik ten osiąga nawet 70 procent!

Najnowsze generacje robotów są w stanie opanowywać coraz bardziej zdumiewające czynności. Najnowocześniejsze z nich dzięki specjalnym czujnikom, nie tylko „widzą" i „słyszą", ale potrafią także odróżniać smak i zapach, grać w szachy i... na fortepianie! Istnieją ponadto takie „mechaniczne cudaki", które reagują na ludzki głos i wykonują niektóre polecenia, a nawet „samodzielnie" podejmują decyzje. Niedawno japońska firma „Hitachi" pokazała robota, który w krótkim czasie, pewnymi ruchami, zmontował rozłożony na części odkurzacz.

Jeśli dodać, że roboty mogą pracować na 3 zmiany, nie wpadają w stresy podczas ogłupiającej pracy przy taśmie, nie potrzebują wakacji ani urlopów i nie męcząc się wykorzystują efektywnie aż 95 procent czasu pracy, to nic dziwnego, że w krajach wysoko uprzemysłowionych pracodawcy darzą „stalowych pomocników" ciepłymi uczuciami. Inwazja robotów na stanowiska pracy wzbudza tam równocześnie spory niepokój. Maszyny wykonują wszystko taniej, szybciej, precyzyjniej. Co będą w przyszłości robili ludzie? — martwią się naukowcy zajmujący się społecznymi skutkami robotyzacji.

W naszym kraju jednak, gdzie do tej pory zainstalowano tylko 600 stanowisk robotów przemysłowych i brakuje rąk do pracy, problemy te brzmią jak bajka o żelaznym wilku...

Masz problem — zwróć się do IRp

— **Produkujemy obecnie dwa typy robotów oznaczonych symbolami: IRb-6 i IRb-60, na licencji szwedzkiej firmy ASEA. Są to automaty tzw. pierwszej generacji, które składają się z dwóch podstawowych elementów: urządzenia mechanicznego, zdolnego do wykonywania ruchów w różnych kierunkach oraz z elektronicznej tablicy sterowania. Przebieg pracy jest wcześniej dokładnie zaprogramowany, tak aby mógł być później precyzyjnie i dowolną ilość razy powtórzony.**

Obydwa roboty (IRb-6 o udźwigu 6 kg oraz jego większy kolega, który podnosi ciężar 60 kg) mają uniwersalne zastosowanie. Można wykorzystywać je do spawania, zginania stalowych elementów, szlifowania, polerowania, gwintowania, przekładania detali itp. — informuje inż. Marek Petz z Pracowni Zastosowań Robotów Przemysłowych „MERA-PIAP" w Warszawie.

Warszawskie roboty pracują obecnie w 15 zakładach przemysłowych w różnych częściach Polski. Wykorzystuje się je tam, gdzie istnieje zagrożenie dla zdrowia ludzkiego (np. w lakierniach, malarniach) lub do wykonywania męczących prac montażowych wymagających dużej precyzyjności.

Najdłuższy, kilkuletni staż mają egzemplarze zainstalowane w Fabryce Samochodów Małolitrażowych w Tychach. Wykorzystuje się je tam z powodzeniem do punktowego zgrzewania części karoserii Fiata 126p.

Toruńskie zakłady „Ema-Apator" oraz fabryka „Apena" w Bielsku-Białej wykorzystują roboty IRb-6 do prac spawalniczych. Spawanie odbywa się w wyjątkowo trudnych warunkach. Zagrożenie dla zdrowia człowieka związane jest z występowaniem pyłów i gazów powstających podczas spawania oraz promieniowania wydzielanego przez palnik. Podczas wykonywania tej pracy łatwo może nastąpić wybuch mieszanek gazowych. Innym niebezpieczeństwem jest możliwość oparzeń rozżarzonymi rozpryskami metalu. Roboty z „MERY-PIAP" nie boją się tych zagrożeń, zastępując robotników przy wykonywaniu tych monotonnych, szkodliwych dla zdrowia i niebezpiecznych dla życia operacji.

Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów, jak wskazuje nazwa, jest placówką badawczą. Zatrudnieni w instytucie specjaliści nie tylko prowadzą badania nad wykorzystaniem licencyjnych robotów w różnych dziedzinach gospodarki. Myślą także o ich unowocześnieniu. Obecnie trwają próby nad układem sterowniczym IRp, który — jak wyjaśnia inżynier Petz — ma zupełnie inną filozofię działania niż szwedzkie rozwiązanie. W jego pamięci na trwałe zapisane są różne możliwości manipulacji produkcyjnych. Obsługujący automat pracownik nie musi sam układać programu, lecz może zapytać maszyny, w jaki sposób najlepiej poradzi sobie z postawionym zadaniem. „Inteligentny" robot już po chwili odpowiedź wyświetla na elektronicznej tablicy...

JUSTYN OPARA
Fot. **autora i archiwum**

Na zdjęciach:

1, 2. Roboty „pierwszej generacji" — IRb, składają się z mechanicznego urządzenia zdolnego do wykonywania ruchów we wszystkich kierunkach (fot. 1) oraz elektronicznej tablicy sterowania (fot. 2), gdzie przebieg pracy musi być wcześniej dokładnie zaprogramowany
3. Dla robota IRb-6 spawanie nie jest trudnym problemem

Vicky przedstawia:

ORGANIZACJA PIONIERSKA IM. DAMDINA

SUCHE BATORA — MONGOLIA

D'Suchhaataryn Neremżit Mongołyn Pionierijn Baiguuług to jedna z najstarszych organizacji pionierskich na świecie, założono ją bowiem w roku 1925. Należą do niej dzieci i młodzież w wieku 8–15 lat. Najmłodsi, to młodzi suche-batorowcy. Nazywa się ich także małymi bohaterami (baatarczuud). Po ukończeniu dziesiątego roku życia przechodzą do drużyn pionierskich i po złożeniu ślubowania stają się pełnoprawnymi członkami organizacji.

Szczególnie uroczysty przebieg mają ślubowania składane w dniu 8 maja, w rocznicę powstania organizacji. Odbywają się wtedy apele, zloty, festyny.

Prawo pionierów mongolskich zawiera dziesięć punktów.

Pionierzy mongolscy zajmują się poznawaniem miejsc walk narodu, rozwijaniem zainteresowań i umiejętności, pracą na rzecz środowiska. Często wyjeżdżają na rozmaite zloty, wycieczki i obozy, gdzie nie tylko wypoczywają, lecz także pracują na roli czy w fabrykach.

We wszystkich szkołach działają szczepy „bułgemy", tworzone przez drużyny („bułegi"). W skład „bułegów" wchodzi kilka salaa (zastępów).

Drużyny działają także w domach pioniera. Ich członkowie mogą należeć do rozmaitych kół zainteresowań, sekcji sportowych, klubów itp. Zdobywają tam sprawności, odznaki i trzy stopnie.

W roku 1986 Organizacja Pionierów Mongolii liczyła około 360 tysięcy członków.

Strojem organizacyjnym mongolskich pionierów jest biała koszula, granatowe spodnie lub spódnica i czerwona chusta.

Okrzyk: „Zawsze gotowi!"

Organizacja Pionierów Mongolii jest jednym z założycieli CIMEA. W 1970 roku została członkiem Prezydium. Aktywnie uczestniczy w pracach Komitetu, współpracuje z organizacjami pionierskimi innych krajów; między innymi poprzez organizowanie międzynarodowych obozów pokoju i przyjaźni. Pierwszy z nich odbył się już w roku 1929.

(jam)

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

WODZOWIE

Na wyzwolonym spod okupacji hitlerowskiej wschodnich ziemiach polskich zorganizowano pocztę — już na początku sierpnia 1944 roku Resort Komunikacji, Poczt i Telegrafu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego zamówił w moskiewskiej wytwórni papierów wartościowych „Goznak" znaczki po 25 i 50 groszy. Jednak druk znaczków się opóźnił i opłatę za przesyłki pobierano gotówką — nie było to wy-

Cd. na str. 4

Najcenniejsze znaczki polskie **7**

● MASZ „KARTĘ SPRAWNOŚCI BIEGOWEJ" LUB „INDEKS SPRAWNOŚCI FIZYCZNEJ" I SYSTEMATYCZNIE KORZYSTASZ Z ZAWARTYCH TAM WSKAZÓWEK?

● LUBISZ SPORT, ORGANIZOWAĆ ZAWODY DLA INNYCH?

● CHCESZ WZIĄĆ UDZIAŁ W CIEKAWEJ AKCJI?

Zarząd Główny Szkolnego Związku Sportowego zaprasza do konkursu:

„Sami podnosimy swoją sprawność"

Jest on adresowany do SKS-ów szkół podstawowych i ponadpodstawowych, w których uprawia się dowolny rodzaj sportu lub fizycznej rekreacji. Warunkiem udziału w konkursie jest zorganizowanie przez szkolny klub trzech oddzielnych imprez sportowo-rekreacyjnych dla wszystkich uczniów. Mogą to być np. przeróżne gry i zabawy, biegi narciarskie i przełajowe, turnieje zręcznościowo-szybkościowe, wyścigi rowerowe, pływackie itp. SKS, który przystępuje do konkursu, wcześniej powiadamia o tych imprezach **ZG SZS (ul. Flory 3, 00-586 Warszawa).**

Konkurs rozpoczynamy już dziś, a kończymy 30 listopada br. Do tego dnia należy złożyć meldunek o wykonaniu zadań — pod powyższym adresem, do meldunku dołączyć kronikę sportowych wydarzeń dziejących się w szkole w roku 1988 oraz 5 indywidualnych „Kart sprawności fizycznej" uczniów wyróżniających się w konkursie.

Ogłoszenie wyników nastąpi w grudniu br., a najciekawsze kroniki zaprezentowane zostaną podczas Krajowego Zjazdu SZS. 10 najlepszych klubów zostanie wyróżnionych nagrodami w postaci sprzętu sportowego, a trzydziestu najaktywniejszych uczniów (w indywidualnym doskonaleniu własnej sprawności) wyjedzie na atrakcyjną wycieczkę.

O szczegółach konkursu można się dowiedzieć od nauczyciela kf.

SZS obchodzi swoje 35-lecie. Uczcijcie to organizowaniem masowych imprez sportowych w szkole i indywidualnym uprawianiem fizycznej rekreacji!

(zp)

LOTNISKO NA WYSPIE

(PAP). W Hongkongu władze miasta powzięły decyzję o budowie nowego lotniska na sąsiedniej wyspie Lantau. Zakłada się, że dwa pasy przedłużone będą poza wyspę dzięki sztucznemu usypaniu dróg rozbiegu i lądowania. Sztuczne pasy startowe będą posadowione na palach wykonanych ze szczególnie twardego betonu i obsypanych odpowiednimi warstwami nawierzchni. Koszt budowy lotniska, na którym zostaną zamontowane najnowsze urządzenia naziemne i łączności, przekroczy 3 mln dolarów. Połączenie między Lantau i Hongkongiem zapewni tunel, w którym obok szybkiej kolei podziemnej znajdą się po trzy pasma drogowe w każdą stronę.

Estońskie spotkania (3)

NÖMME PROPONUJE REWOLUCJĘ

Gdyby nie estońskie i rosyjskie napisy nad sklepikami, można by czuć się jak w podwarszawskim Otwocku, Świdrze czy Falenicy. Brzózki, sosnowe laski, drewniane domki i siląca się na nowomiejskość wille. Nõmme to taka podmiejska dzielnica Tallina.

Szkoła nr 34. Od razu widać, że to szkoła. Jest coś takiego w tych szkolnych budynkach niby różnych, że nawet zamknięte na głucho nie potrafią ukryć swego przeznaczenia. I tak jest na całym świecie.

Ta szkoła też jakby żywcem spod Warszawy. Nawet płot równie sfatygowany. Widać, tak jak u nas, ciężko się wchodzi przez oficjalne bramy i furtki. Bliżej, szybciej przez siatkę. I tu — tak jak i u nas — główne drzwi zamknięte, trzeba się dostukiwać przez głęboko ukryte drzwiczki szatni w podziemiach koło hałdy koksu (*„Na zimy nie możemy narzekać. Ostre!"*).

I dalej też jak u nas... W szatni jest dostatecznie dużo powodów, aby doszło do awantury, albo do przekomarzanek, albo przynajmniej do jakiegoś kawału. Tak jak teraz. Woźna nie mogła otworzyć drzwi, bo Peter (*„chyba Peter, bo on tak zawsze"*) schował torbę Karin, a Dagmar nie mogła znaleźć buta, a Gustaw popchnął Kaljo, a Toivo rozdarł sweter Karla... Pani woźna musi się wyskarżyć nim doprowadzi do pana Reili.

Pan Reili przyszedł dzisiaj specjalnie. Na co dzień pracuje w Instytucie Termoelektrofizyki Estońskiej Akademii Nauk. Jest elektronikiem, a do szkoły 34 przychodzi — trzy razy w tygodniu — oficjalnie popołudniami, a nieoficjalnie... *no, to prawie, że codziennie, tyle że wieczorami.*

Do szkoły 34 chodził przed laty jego syn, Indrek. Indrek miał kilku przyjaciół. Otto, Ingvar, Ando często wpadali do Indrka, ale zawsze chcieli przede wszystkim pogadać z tatą. I mieli zawsze dużo pytań. Te pytania stawały się coraz trudniejsze. A nieco później okazało się, że nie tylko oni mają równie ważne pytania. No i do pana Reili zwróciła się ówczesna dyrektorka szkoły, proponując mu organizowanie spotkań z chłopakami w piwnicy szkolnej.

Tak często się coś zaczyna (prawda, że nie tylko w Estonii?). Pan Reili przyjął propozycję. A ci, którzy interesowali się techniką, szybko się zwiedzieli i tak powstał klub. Oglądam grubą księgę pełną fotografii, zapisów, wklejek, jakiś bardzo uczonych wzorów, z których niestety nic a nic nie rozumiem. Wiem, że poza szalenie mądrymi i trudnymi zajęciami technicznymi ci, którzy przychodzili i ci, którzy teraz przychodzą, także się nieźle bawią — ścigają się i chodzą na wycieczki, i jeżdżą na obozy, na których sami gotują, i organizują wystawy i spotkania dla rodziców, i sami zbudowali kawałek tej szkoły. Właśnie tę część, w której teraz siedzimy.

Po prostu za ciasno się zrobiło w piwnicy, a nie było mowy o tym, aby udało się wygospodarować jakiś większy kąt w szkole. Władze obiecywały, obiecywały ale... ciągle było coś bardziej pilnego, ważnego więc korzystając z jednego z tatusiów — architekta, z drugiego — budowlanego i jeszcze kilku innych tatusiów w aurze ogólnej życzliwości ale i niedowierzania od 1982 do 1986 roku 62 członków klubu (bo już wtedy był oficjalny klub z emblematem, regulaminem, kroniką itp. rzeczami) postawiło tę sporą przybudówkę. Cegły podawali, meble robili a po za tym — nie nie poza tym, tylko niezależnie od tego! — klub zajmował się tym najważniejszym, tzn. elektroniką.

Tu zaczyna się dla mnie, Waszego sprawozdawcy, grunt zupełnie niepewny. Oglądałam, dotykałam, ale przysięgam, nie potrafię zrelacjonować tego tak, abym miała pewność, że ci z Nõmme nie wpadną pod stół ze śmiechu, a czytelnicy docenią, tak jak na to zasługuje, twórczość klubowiczów z Nõmme.

Wiem, że zbudowali przed laty audiotelefon dla inwalidy. Wiem, że Tarvi Tie, jeszcze wówczas uczeń, opracował schemat a następnie sam wykonał jakąś niezwykłą pamięć do komputera. Inny uczeń 7 klasy opracował dwie gry telewizyjne. Olav Vilborn jest obecnie studentem politechniki, ale jeszcze u nich, w klubie, zajmował się zdalnie sterowanymi modelami latającymi. Opracował aparat na 9 kanałów sterowania. I jest on — ten aparat — dwa razy lżejszy niż te, które są w profesjonalnej produkcji.

W 1979 roku podpisali umowę z Biurem Konstruktorskim Estońskiej Akademii Nauk i kółkowicze biorą udział w wielu pracach prowadzonych przez dorosłych konstruktorów, a ci, którzy uczą się w technikach i chodzą do kółka, mają tam praktyki zawodowe.

Sześć lat temu pod opieką CK Komsomołu, Ministerstwa Oświaty, NOT i Stowarzyszenia Wynalazców i Racjonalizatorów powstała Mała Akademia Nauk. Kółko ze Szkoły 34 jest jakby założycielem sekcji techniki estońskiej Małej Akademii Nauk a Ants Reili i Peter Grossberg — szefowie kółka — są zarazem szefami sekcji w tej estońskiej Małej Akademii. Prezesem jest Auto Raukos, geolog, z-ca prezesa Akademii Nauk Estonii.

Mała Akademia Nauk to sprawa poważna, dostają się do niej bardzo młodzi ludzie, ale tylko ci, którzy rzeczywiście chcą dużo wiedzieć, starają się o to i pracują nad sobą. W różnych dziedzinach.

Oglądam blok zasilania oscylografu, rozrysowany schemat poszczególnych elementów — to ponoć jest praca, dzięki której jeden z chłopców z kółka dostanie się teraz do Akademii. Inny akurat przedstawił obliczenia swojego fantastycznego nieco pomysłu — lasera na płynne paliwo. Udowodnił, że na benzynie można uzyskać wielkie moce. Obliczenia są ponoć znakomite. Akademicy — ci dorośli — nie mogą znaleźć pomyłki. Oczywiście jest jedno słabe miejsce — materiał z którego można by zbudować laser.

Najnowszym dzieckiem klubu jest projekt nowej szkoły, 12-letniej szkoły o rozszerzonym zakresie nauczania techniki. I to zapowiada się na rewolucję! Szkoła ma być spółdzielcza (uczeń — udziałowcem!), samowystarczalna finansowo. Współorganizatorami tej szkoły ma być Ministerstwo Oświaty, Politechnika, Instytuty Akademii Nauk i zakłady pracy. Są już uprawnienia. Można zaczynać. Być może w następnym roku szkolnym.

Pan Reili jest jednym z tych ludzi, którzy uważają, że *„nie mają czasu tylko ci, którzy ....nic nie robią"*. Więc też kiedy spogląda ukradkiem na zegarek i na swój bardzo kolorowy rozkład dnia w kalendarzyku, pospiesznie składam notatki, zabieram emblemat, który wymyślili sobie przed laty pierwsi członkowie klubu, a którzy i dziś z dumą noszą go na rękawach koszul i kurtek, i wychodzę na przestronne szkolne boisko.

A tu jak u nas — rowery leżą rzucone pod stertą koksu, kilku chłopaków ugania się za piłką, gdzieś niedaleko przejeżdża elektryczny pociąg, matka woła Joaaana na obiad. I tu ma się zacząć ta rewolucja.

WANDA KOBYŁECKA

Cd. ze str. 3

godne dla korzystającej z poczty ludności i postanowiono wydrukować w Lublinie tymczasowe znaczki pocztowe. Seria trzech znaczków otrzymała nazwę „Wodzowie", gdyż przedstawiono na nich podobizny Romualda Traugutta (25 gr), Tadeusza Kościuszki (50 gr) i Jana Henryka Dąbrowskiego (1 zł). Projekty znaczków zatwierdzono w końcu sierpnia, a już 6 września przekazano do Dyrekcji PiT 15 000 sztuk znaczków po 25 gr, następnego dnia 15 000 sztuk znaczków po 50 gr i 1 zł. Pozostałą część nakładu (około 35 000 sztuk) dostarczono w dniach 8–11 września 1944 r. Znaczki te zostały rozesłane do wszystkich większych urzędów pocztowych i zużyte w obiegu pocztowym na całym oswobodzonym terenie. Mimo trudności komunikacyjnych, znaczki lubelskie szybko dotarły do urzędów pocztowych i znane są przesyłki opłacone tymi znaczkami z pierwszej połowy września 1944 roku, z różnych wyzwolonych miejscowości. Niefilatelistyczna korespondencja ze znaczkami wydania lubelskiego jest obecnie tak samo rzadka jak listy z pierwszym znaczkiem polskim z 1860 roku. Znaczki wydania lubelskiego wycofano z obiegu pocztowego 13 lutego 1945 roku, ale faktycznie wskutek wyczerpania nakładu wyszły z obiegu już w końcu 1944 roku.

W końcu grudnia 1944 roku PKWN wydał dekret o wprowadzeniu wojennej cenzury korespondencji. Stemple cenzury nie mają charakteru pocztowego, ale ich obecność na przesyłce pocztowej umożliwia identyfikację, świadczy o oryginalności przesyłki.

Cena: znaczek czysty 20 000 zł, kasowany 20 000 zł.

Wiecznie młody stulatek

Kapelusz myśliwski w kratkę, wygięta fajka w ustach — wszyscy wiedzą, że to atrybuty detektywa wszechczasów, Sherlocka Holmesa.

W 1987 roku obchodził Sherlock swoje stulecie. Sto lat temu bowiem zostało opublikowane „Studium w szkarłacie" — opowiadanie, w którym pojawił się po raz pierwszy. Potem jeszcze w 4 powieściach i 56 opowiadaniach był Sherlock głównym bohaterem.

Ponoć sir Arthur Conan Doyle stale dziwił się ogromną i rosnącą nieustannie popularnością swego bohatera. Próbował go nawet kilkakrotnie uśmiercić, ale czytelnicy protestowali. Do dziś, mimo zalewu różnorakiej powieści detektywistycznej i kryminalnej sława Sherlocka nie blednie. Na całym świecie istnieją Kluby Miłośników Sherlocka i jego przyjaciela doktora Watsona. Do domu przy Baker Street 221 B w Londynie gdzie „mieszkał" detektyw a obecnie ma swoje biuro Towarzystwo Budowlane (jako żywo nie mające nic wspólnego ani z mistrzem dedukcji, ani z jego twórcą) — codziennie przychodzą listy adresowane do Sherlocka Holmesa. Kilka sekretarek na stałe oddelegowanych „do Sherlocka" odpisuje na te listy.

Stulecie „urodzin" Sherlocka Holmesa obchodzono szalenie uroczyście. Angielskie towarzystwo jego imienia wydało elegancki obiad w Izbie Gmin i zorganizowało wycieczkę do Szwajcarii śladem opowiadania „Ostatnia zagadka".

A przy okazji — czy wiecie skąd się wzięła w wyposażeniu Sherlocka wygięta fajka?

William Gillette, aktor amerykański, który jako pierwszy wcielił się w postać genialnego detektywa na scenie miał kłopoty z wyraźnym wypowiadaniem swoich kwestii ze zwykłą fajką w zębach, zmienił ją więc na taką wygiętą. I stało się... Wszyscy odtwórcy na scenie i na ekranie, wszyscy graficy przedstawiający Sherlocka obdarowują go wygiętą fajeczką.

Niech żyje wśród ludzi!

Gdy trwają ferie, plan dnia Roberta nieco się zmienia. Ale przez cały rok wygląda tak: Rano musi się bardzo spieszyć ze wstawaniem, myciem i śniadaniem, bo o 9 zaczyna lekcje. Trwają 3–4 godziny dziennie. Potem krótka przerwa — i ćwiczenia rehabilitacyjne. W domu jest wszystko co potrzebne, by usprawniać ręce, likwidować przykurcze nóg. Potem odrabianie lekcji, no i wolny czas. Przychodzą wtedy koledzy — sąsiedzi, czasem on do któregoś z nich pojedzie. Interesuje się wszystkim, co ma związek z komputerem — programowaniem, no i grami — choć to granie, mówi tata, jest bez sensu.

Robert uczy się dość dobrze, na czwórki. Bardzo lubi geografię, język angielski, pokonał też początkowe problemy z matematyką. Ma 14 lat, jest uczniem klasy VIIa Szkoły Podstawowej nr 146 w Warszawie, ale uczy się w domu. Bo Robert przykuty jest do wózka inwalidzkiego.

Był wesołym, ruchliwym 3-latkiem, gdy pewnego dnia powiedział mamie, że jakoś nie może wstać. Obawy rodziców potwierdziła diagnoza lekarza: groźna choroba mięśni. Chłopiec powoli przestawał chodzić, aż wreszcie — usiadł na wózku inwalidzkim.

Skazani na siebie

Rodzice postanowili wykorzystać każdą szansę, by pomóc synowi. Wyjechali na rok, na kontrakt do Libii. Mieszkali w Bengazi, w domku z dwoma ogródkami. — *Tam było dobrze* — wspomina Robert. — *Cały dzień byłem z przyjaciółmi rodziców, z polskimi rówieśnikami. Miałem psa, prawdziwego pustynnego psa, od szczeniaka wychowanego wśród ludzi — Muszkila, żółwi cały ogród, własnego kameleona. A co piątek wyjeżdżaliśmy całą gromadą daleko od Bengazi, nad otwarte morze. Pływałem dużo, podglądałem ławice kolorowych ryb. Jeździłem też z wujkiem terenowym samochodem, z napędem na wszystkie koła, po plaży. Nie byłem tam sam!*

Ale największy atut Libii — pływanie w ciepłej, mocno zasolonej wodzie — nie pomógł chłopcu.

Wrócili więc rodzice Roberta do Warszawy, do swego mieszkania na IV piętrze. Usunęli drzwi z korytarza, przystosowali łazienkę — żeby było jak najwięcej przestrzeni, żeby chłopak mógł się na wózku w miarę swobodnie poruszać. Ale do kuchni już dostać się np. nie może, choć mógłby i bardzo chciał pomagać czasem babci — pozmywać, może i ciasto upiec. Nie dostanie się też na balkon; próg jest nie do przebycia. Nawet pomoc babci czy mamy nie wystarczą — trzeba męskiej siły, by przepchnąć przezeń wózek. Robert czeka więc na powrót z pracy taty. Bez niego może tylko zjechać piętro niżej, do Jeremiego — tam tylko trzeba szafkę w przedpokoju przesunąć, by mógł do mieszkania wjechać... Tak jest jesienią — zimą. Ale gdy robi się ciepło, Jeremi i wszyscy koledzy z bloku pędzą na dwór; on może tylko przyglądać im się przez okno.

Mówi tata Roberta: — *Mógłby świetnie brać udział w niejednej ich zabawie! Przecież w Libii na tym samym wózku bawił się z kolegami w chowanego! Gdyby tylko mógł swobodnie wydostać się z domu...Ale — u nas ze wszystkim problemy. Pojechaliśmy np. na festyn „Trybuny Ludu". Półtorej godziny jeździłem i nie mogłem zaparkować — milicja mnie przeganiała. A legitymację inwalidzką, która wiele rzeczy ułatwia, choćby takie właśnie „nieprzepisowe" parkowanie, załatwiałem „tylko" 2 miesiące.*

Jeździmy często z synem i jego kolegami do kina „Moskwa". Tam wpuszczają nas dołem, gdzie wygodny zjazd. Jaka to przyjemność obejrzeć dobry film wśród ludzi, nie w domu — niech pani Robert powie.

Pomost na świat

W domu, w którym mieszka Robert, na szczęście sprawnie działają windy. Dostać się na parter — nie ma problemu. Ale tam czeka pułapka — schodki nie do pokonania dla dość wywrotnego, na wielkich kołach, wózka inwalidzkiego, zwłaszcza gdy siedzi w nim prawie dorosły, ciężki już chłopak. Rodzice z trudem znoszą go z nich wspólnymi siłami, za każdym razem drżąc, że zlecą ze schodów we trójkę.

Wymyślił więc tata Roberta rzecz najprostszą pod słońcem — betonowy 6 metrowy pomost o łagodnym spadku, który prowadziłby wzdłuż schodów od zapasowego wyjścia z budynku, na tyły domu.

Wydawałoby się — żadna sprawa; tyle wszędzie stawia się przecież betonowych gazonów na kwiaty, ławeczek, ozdóbek. A jednak...

Pierwsze pismo napisał do Spółdzielni Mieszkaniowej w 1984 roku, a w 1988 „już" ma pozwolenie na wykonanie owej pochylni, która wreszcie pozwoli Robertowi wychodzić swobodnie z domu! Gdy tylko więc pogoda dopisze, zacznie się ów podest — mamy nadzieję — budować.

Mała rzecz — problem wielki. Tak już u nas jest. A na przykład w NRD — wspomina Robert swoje ostatnie wakacje — *w każdym najmniejszym miasteczku wygodne zjazdy z chodników, podjazdy do sklepów, domów towarowych. W Berlinie w Pałacu Rozrywki na każdym programie wielu niepełnosprawnych — mogą wszędzie swobodnie dotrzeć, chodzić tam, gdzie chcą!*

Prawdziwe życie.

... toczy się na wakacjach. Cała rodzina i pies Gafir, duży i bardzo miły pudel — znajdą, jeżdżą przeważnie na biwaki pod namiot, na Mazury. Tam jest raj! Robert, zapalony turysta, siedziałby nad jeziorem cały dzień. Wędrują też po lesie, choć wózek porusza się wtedy znacznie trudniej, a czasem zdarzy się i upadek.

Tych udanych wakacji mógłby wymienić sporo. Wszędzie tam, gdzie coś się dzieje, gdzie są rówieśnicy, przyjaźni ludzie — jest dobrze.

Prawdziwe życie toczy się więc, mimo wysiłków rodziców, przede wszystkim na wakacjach. A na co dzień pozostają wypady na zakupy z babcią, czekanie na odwiedziny Jeremiego, na przyjście nauczyciela, zabawy z psem. Zaczytywanie się książkami — zwłaszcza przygodowymi i science fiction. No i obserwowanie tego, co dzieje się za oknem...

A za oknem Roberta — tuż, tuż — jest szkoła. Jego szkoła. Bywa tam tylko od wielkiego święta: na rozpoczęcie i zakończenie roku szkolnego. Dlaczego nie bierze udziału w różnych szkolnych imprezach, autokarowych wycieczkach — naprawdę nie rozumiem! Kto tak o nim zapomniał — nauczyciele czy koledzy?!

KRYSTYNA KLIMOWICZ

Fot. **Marek Szymański**

PRZYNOŚCIE DO NAS WSZYSTKIE ZNAJDY...

Jakim cudem w Moskwie pod płotem mógł się znaleźć żółw? Prawdopodobnie znudził się już komuś jako zabawka i został wyrzucony. Zabrałam go i przyniosłam do domu. Niedługo potem przyprowadziłam kulejącego psa. Podleczyłam. Kiedy całkiem wyzdrowiał i chciałam go wypuścić, okazało się, że zdążył już uznać nasz dom za swój własny. Na szczęście mam bardzo, bardzo dobrą mamę, psiak więc mógł zostać na zawsze. A do tego wszystkiego wzięłyśmy jeszcze do siebie kotkę, która „płakała" pod drzwiami...

Rozumiem, że nie wszyscy mogą przyjąć do domu porzucone zwierzaki, ale co robić, kiedy znajduje się na ulicy bezdomne stworzenie? Czy jest jakieś wyjście?

Owszem, jest, tak w każdym razie uważają członkowie klubu „Fauna", do którego należę i ja. Powstała w nim sekcja psów nierasowych „Pif". Mogą zgłaszać się tu wszyscy mający tego typu problemy.

Przyjmujemy zgłoszenia od chętnych, pragnących mieć w domu psa. A jednocześnie dajemy ogłoszenia do gazet: „Prosimy przynosić do naszego klubu wszystkie znajdy, bezdomne, nie chciane przez nikogo, porzucone psiaki". Każdy, który w ten sposób trafi do nas, przez pewien czas pozostaje w klubie, karmimy go, „doprowadzamy do porządku" i wtedy dopiero zapraszamy tych, którzy składali oferty. Wypytujemy, jakie warunki będzie miał nasz „wychowanek" w nowym domu, kto i w jaki sposób będzie się nim zajmować (można uzyskać u nas porady związane z wychowywaniem psa, ale można też i przychodzić do klubu po nauki). Zawieramy następnie umowę, w której zagwarantowane jest, że przedstawiciele „Fauny" będą mogli sprawdzić, jak wiedzie się psu u niego w domu, a także zapraszać go co jakiś czas do klubu na oględziny.

Ostatnio i w prasie, i w telewizji pada bardzo dużo dobrych słów o ochronie zwierząt, o serdecznym stosunku do nich. Słowa są dobre, ale jakoś nie przynoszą poprawy losu bezdomnych zwierząt. Staramy się więc w „Faunie", jak tylko potrafimy, rozwiązywać ten problem. Ciekawe, jak wygląda to gdzie indziej.

Marina Karpowa, Moskwa
Szkoła nr 353, kl VIII a

117 burz na sekundę

(PAP). Według obliczeń specjalistów, w każdej sekundzie na kuli ziemskiej występuje 117 burz z błyskawicami, piorunami i obfitym deszczem. Łącznie w ciągu roku notuje się 1115 mln takich burz. Nad Polską w ciągu roku przechodzi ich niewielki ułamek.

Najwięcej burz występuje w klimacie ciepłym. Są jednakże tzw. ogniska burzowe, gdzie zjawisko to występuje bardzo często. Obejmują one 2 proc. powierzchni naszego globu. Najczęściej burze występują w tropikalnej strefie Ameryki Środkowej i Południowej oraz w Azji Południowo-Wschodniej. Na te rejony przypada 20 proc. wszystkich burz.

Rekordowym miejscem jest Singapur, gdzie średnio rocznie notuje się 170 dni z burzami, ale rekord dzierży indonezyjska wyspa Jawa, gdzie burze występują przez 220 dni w roku!

W umiarkowanej strefie klimatycznej, w której znajduje się Polska, burze pojawiają się głównie w ciepłym okresie. Ostatnio jednak coraz częściej w tym klimacie występują one również bardzo wczesną wiosną, a nawet zimą.

BRUCE BOXLEITNER

— podbija nie tylko zachód

Luke z amerykańskiego serialu „Jak zdobywano Dziki Zachód" podbił serca naszych czytelniczek — co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości! Ale że jest to pierwsza rola w jakiej oglądamy w Polsce Bruce'a Boxleitnera — wybaczcie proszę, że wiemy o nim niezbyt wiele i nie możemy pokusić się jeszcze o ocenę jego aktorskiego kunsztu. Przyznajemy tylko, że istotnie jest przystojny, pełen wdzięku, świetnie jeździ konno i gra bardzo sympatyczną postać w oglądanym przez wszystkich, we wtorki, serialu.

Oczywiście, służymy i garścią konkretów na jego temat. Jego dotychczasowy dorobek to role telewizyjne. Prócz serialu „Jak zdobywano Dziki Zachód" wystąpił z Kenny Rogersem w kilkuodcinkowym telewizyjnym filmie „Gracz", podobał się widzom w głównej roli w filmie TV „Frank — myśliwy", z Lindą Evans w „Bare essence" i z Barbarą Hershey w „Passion flower". Zagrał też wiodącą męską rolę w serii telewizyjnej „Scarecrow and Mrs King", ale o tym za chwilę.

Urodził się 12 maja 1951 r. (znak zodiaku — Byk) w miejscowości Elgin w stanie Illinois. Właśnie na planie serialu „Jak zdobywano Dziki Zachód" poznał młodszą od siebie o dwa lata aktorkę Kathryn Holcomb (grała jego śliczną siostrę) i nie zwlekał długo z oświadczynami. Dziś ich starsza pociecha — Sam ma już 7 lat, a młodszy syn — Lee Davis — 2 latka. Niestety, Bruce i Kathryn rozstali się. Plotka niesie, że to z powodu Kate Jackson (najfiglarniej uśmiechnięty „Aniołek Charliego"). Grał z nią właśnie w „Scarecrow and Mrs King". Czy rzeczywiście „ekranowa" miłość Amandy i Lee przerodziła się w prawdziwe uczucie pomiędzy Bruce'em i Kate? Na plotkach polegać nie wypada... Faktem jest jednak, że często widywano tę parę razem, także poza filmowym planem, a gdy zatroskany Bruce odwiedzał niedomagającą (a także nieszczęśliwą w życiu prywatnym) Kate w szpitalu i w domu — żona poczuła się dotknięta i opuściła go. Niektórzy twierdzą jednak, że tej obiecującej aktorce, która przerwała swą karierę by zająć się domem, „znudziło" się być „zwykłą panią Boxleitner", bez zawodu, że przeżywała silną depresję i po prostu postanowiła wrócić przed kamery.

W każdym razie rancho Bruce'a San Fernando Valley opustoszało. Aktor wrócił tam jednak bez Kate i długie godziny spędzał, wałęsając się konno po okolicy. Niedawno zwierzył się przyjaciołom: — *Jestem nieszczęśliwy, bo wiem, że w tej sytuacji najbardziej cierpią dzieci.*

Ma jednak zawód, w którym nie można pozwolić sobie na długi odpoczynek. Przyjął kolejną rolę i podobno znów się uśmiecha. Wyjechał na wyspy Fidżi kręcić telewizyjny film „Angel green", a także razem z Donem Johnsonem i Bruce'em Wilisem zajął się reklamą perfum dla panów — Estée Lauder.

Miłośniczki Bruce'a Boxleitnera na pewno ucieszy adres, pod którym można mu przesłać wyrazy sympatii: **Bruce Boxleitner c/o Larry Thompson 1440, South Sepulveda Boulevard, suite 118 Los Angeles, CA 90067, USA.** **(eb)**

1

GWIAZDOZBIÓR

2

Na zdjęciach:

1. Czy rzeczywiście nowa miłość?
2. Bruce znów się uśmiecha

Fot. archiwum

BLIŹNIAKI

Bliźniak, to komplet złożony z dwóch sweterków, noszonych jeden na drugim. Ten pod spodem zakładany jest przez głowę, ten na wierzchu — rozpinany i nosi się go najczęściej w postaci całkowicie rozpiętej, po to, aby ten spodni było dobrze widać. Na ogół ten spod spodu jest z rękawem krótkim, a ten z wierzchu z długim, ale nie jest to reguła obowiązująca w 100 procentach. Bywa, że obydwa mają rękaw długi, a czasami zdarza się zupełna odwrotność — ten pod spodem jest z rękawem długim, a na niego zakładany jest rodzaj kamizelki bez rękawów w ogóle.

W każdym razie, poza fasonem, który jest zdecydowanie inny, obydwie części są identyczne. Tzn. wykonane z identycznej włóczki, identycznym ściegiem, z identycznymi ozdobami. Jeśli są wzorzyste, to wzór także powinien być identyczny, albo... różnorodnie-identyczny. Hm, cóż to znaczy?! Ano, znaczy mianowicie to, że może się różnić wielkością (np. na jednym sweterku są wrabiane malutkie gwiazdki, a na drugim takie same lecz większe) lub kombinacją kolorystyczną (np. na jednym sweterku jest wrobiony kwiatek o różowych płatkach i fioletowym środku, a na drugim — o fioletowych płatkach i różowym środku). Kontrast kolorystyczny, a właściwie kolorystyczna odwrotność, nie musi być związana z wzorem, ale również np. z lamówką. Powiedzmy — taki bliźniak, który składa się z czerwonego pulowerka ozdobionego granatową lamówką i granatowego rozpinanego sweterka ozdobionego czerwoną lamówką.

Te wszystkie warianty (dziwacznie nazwane identycznie-różnorodnymi) są jednak wariantami bliźniaków... niejako dodatkowymi. Klasyczny bliźniak (i takie przedstawione są na zdjęciu), to dwa sweterki, które różnią się tylko i wyłącznie fasonem. Mogą być one cieńsze, mogą być grubsze, mogą być maszynowo robione, mogą być dziergane ręcznie...

Bliźniaki kiedyś (tak mniej więcej przed 25 laty) były ogromnie modne, potem ustąpiły miejsca różnym swetrom „pojedynczym", właściwie nawet nazwa „bliźniak" wyszła powoli z użycia. W modzie jednak nic nie mija bezpowrotnie i wszystko (a przynajmniej najnowsze żurnale) wskazuje na to, że będziemy mieć „bliźniaki" znowu na co dzień. I chyba dobrze, bo bliźniaki nie tylko w życiu lecz także w swetrach są zabawne, a to, co zabawne, jest dość powszechnie lubiane. Prawda?!

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych

dawno... niedawno...

STALIN

Kiedy **5 marca 1953 roku** umarł **Józef Wissarionowicz Dżugaszwili**, najlepiej znany pod nazwiskiem **Stalina** — świat wstrzymał oddech. Wielu płakało. Wasi rodzice, a już z pewnością dziadkowie, pamiętają owe dni, kiedy wydawało się, że „nazajutrz słońce nie wzejdzie". W dniu pogrzebu stanęły w ZSRR, Polsce, innych krajach socjalistycznych fabryki, a wycie syren towarzyszyło transmisji radiowej z uroczystości pogrzebowych w Moskwie.

W istocie — kończyła się pewna epoka. Dobra czy zła? No cóż, w dziejach trudno o oceny jednoznaczne, a tym trudniej, gdy idzie o ludzi, którym przyszło współtworzyć historię. Stalin był symbolem: z jednej strony zwycięskich zmagań z hitleryzmem, kiedy to stał na czele zwycięskiej Armii Czerwonej i wespół z prezydentem Stanów Zjednoczonych i premierem Wielkiej Brytanii decydował o kształcie i losach powojennego świata. Także — jawił się wielu jako symbol rozwoju Związku Radzieckiego, przekształcania się zacofanego państwa carów w nowoczesne mocarstwo przemysłowe i militarne. Z drugiej strony stał się jednak także uosobieniem praktyki politycznej, która w ZSRR i innych krajach Europy środkowo-wschodniej doprowadziła do łamania prawa, wsadzania do więzień i obozów setek niewinnych ludzi; również z jego imieniem łączy się osiąganie celów gospodarczych za wszelką cenę, nie licząc się ze społecznymi kosztami. Kiedy w latach trzydziestych przekształcano

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

STALIN

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

rolnictwo radzieckie z małowydajnego, chłopskiego w wielkotowarowe gospodarstwa spółdzielcze (kołchozy) i państwowe (sowchozy), towarzyszyła temu krzywda wielu prostych ludzi. Kiedy „oswajano" Syberię i kładziono (w latach trzydziestych) podwaliny pod rozwój przemysłu mającego uczynić z Kraju Rad drugie mocarstwo świata — za ten skok cywilizacyjny płacili zubożeniem „zwykli" obywatele. Powstał model gospodarczy mało efektywny i wydajny, szalenie zbiurokratyzowany, scentralizowany i sformalizowany. Nieliczenie się z interesem jednostki, poświęcenie jej dla „dobra wspólnego" („gdzie drwa rąbią tam wióry lecą" — mawiał Stalin) — nazwano później, słusznie, wypaczeniem socjalizmu i od nazwiska twórcy tego modelu postępowania zaczęto zwać stalinizmem. Kiedy dyskusję polityczną z przeciwnikami zastąpiono więzieniami i obozami, a rozmowy poczęto zastępować przesłuchaniami, kiedy we wszystkich upatrywano wrogów, było to nadużycie wspaniałej idei socjalizmu. Utożsamienie tej idei, która w zamiarze jej twórców — Marksa i Lenina — miała wyzwolić od ucisku i niesprawiedliwości człowieka, z praktykami stalinizmu jest największą krzywdą wyrządzoną socjalizmowi, krzywdą, której skutki są po dziś dzień obecne w świadomości społecznej.

Dlaczego tak się stało? — to pytanie nurtuje polityków i historyków. I nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedni sądzą, że wyposażenie Stalina w olbrzymią, praktycznie dyktatorską, władzę (co nastąpiło począwszy od drugiej połowy lat dwudziestych), w połączeniu z cechami jego osobowości, podejrzliwością i apodyktycznością (na co zwracał uwagę Lenin), małą wiedzą teoretyczną z zakresu marksizmu doprowadziło do takiego stanu. Inni twierdzą, że nie byłoby inaczej możliwe przezwyciężenie złej spuścizny carskiej Rosji, niż tylko przez rządy „silnej ręki". Jeszcze inni uważają, że zjawisko pod nazwą „stalinizm" było kontynuacją innymi tylko środkami i sposobami „samodzierżawia" carskiego. Wiele jeszcze zapewne dyskusji o tych trudnych latach jest przed nami. Najważniejsze jest jednak to, że stalinizm dla praktyki socjalizmu stanowi wielką lekcję: nie wolno nawet w imię najszlachetniejszych celów zapominać, że najważniejszym jest godność i poszanowanie praw człowieka. Mówi się o tych sprawach głośno, zwłaszcza od kiedy w ZSRR zaczęła obowiązywać „głasnost" i „pieriestrojka". Przez ponad ćwierć wieku Stalin i jego sposób patrzenia na świat wywierały dominujący wpływ na losy szóstej części ludzkości. To doświadczenie pozostaje obecne — w jego dodatnich i ujemnych stronach — w naszej politycznej, społecznej i gospodarczej rzeczywistości.

SZPERACZ

Ludzie uwierzą w każdą bzdurę

Drukuję dziś list Radosława Małeckiego o Adamskim, Amerykaninie polskiego pochodzenia, który zasłynął ze swych osobistych kontaktów z kosmitami, a właściwie z Wenusjanami. Głośno było o nim zwłaszcza w początku lat sześćdziesiątych. Jego sławę można by porównać ze sławą późniejszego Däniken. Obaj doszli do sukcesu w tej samej dziedzinie, wykorzystując naiwność ludzką. Trzeba jednak przyznać, że Däniken zrobił to lepiej niż nasz rodak. Adamskiego nie było nawet stać na tyle fantazji, aby swych kosmitów umieścić gdzieś dalej w kosmosie, np. w układzie Proximy, a nie na Wenus, na której, nawet uczeń wie, że nic żywego istnieć nie może. Ale naiwni i to kupili.

Od śmierci G. Adamskiego minęło już prawie 23 lata a mimo to wiara w jego kontakty z Wenusjanami trwa nadal. I to dla mnie jest największym cudem. Jak niewiele trzeba by ludzie uwierzyli nawet w największą bzdurę... Dowód w postaci równie fantastycznej opowieści niejakiego Bryanta, któremu przedstawił się po swojej śmierci Adamski (Yamski?) w roli wysłannika z Wenus. I te kawałki pergaminu, i nieznanego metalu i fiolka z szarym piaskiem (chyba z Wenus?) jako potwierdzenie wiarygodności „widzenia" pana Bryanta. Takie coś mogło się narodzić tylko w prymitywnej głowie więziennego strażnika, szukającego sławy czy rozgłosu w modnym przecież temacie. „Skoro tylu rodaków miało spotkania III stopnia, dlaczego ja miałbym być gorszy?" — powiedział sobie pan Bryant i wymyślił swoich Wenusjan, a na dodatek ze zmartwychpowstałym Adamskim.

Reasumując, chciałbym powiedzieć, że bardzo lubię jeśli ktoś ma poczucie humoru i umie wymyślać niezwykłe historie. Natomiast smucą mnie niepomiernie ci, którzy historie te traktują poważnie. Co trzeba zrobić aby nauczyć się rozróżniać rzeczywistość od fantazji? Uczyć się, po wielekroć uczyć się.

PREZES

Na zdjęciu:

W naszym układzie planetarnym życie istnieje tylko na Ziemi, może ewentualnie jeszcze na Marsie, ale prymitywne w postaci bakterii. Wenus jest na pewno martwą, bezwodną pustynią, na której temperatura wynosi około 450°C

ADAMSKI WŚRÓD ... WENUSJAN

Od kilku lat czytam „Świat Młodych", szczególnie wtorkowy Tomik. Ostatnio zacząłem interesować się UFO-logią przede wszystkim pod kątem czy kiedyś kosmici byli na Ziemi i czy ich pobyt miał jakiś wpływ na rozwój człowieka od form prymitywnych do obecnej formy gatunku homo sapiens. Ostatnio bardzo mnie interesują spotkania III stopnia z kosmitami. Uważam, że jeżeli obecnie występują takie spotkania to mogły występować i dawniej.

Zainteresowała mnie szczególnie osoba George'a Adamskiego przede wszystkim dlatego, że jako jeden z niewielu Polaków jest znany w dziedzinie UFO-logii. Wierzę, że spotkania jakie przeżył są prawdziwe. Wydaje mi się jednak, że osoby, z którymi się spotkał nie pochodziły z tak blisko znajdującej się planety. Doskonałym niejako dowodem na prawdziwość spotkań Adamskiego z NIMI jest to, co widział niejaki Bryant. Ale po kolei...

UFO i... fałszerstwa

George Adamski urodził się 17.IV.1891 r. W wieku dwóch lat wyjechał z Polski wraz z całą rodziną do Stanów Zjednoczonych. Tam rodzina jego osiedliła się w Dunkirk w stanie Nowy York. Tam, już po ukończeniu szkoły podstawowej (nauki udzielał mu prywatny nauczyciel), wobec pogłębiających się kłopotów finansowych rodziny musiał podjąć pracę zarobkową.

Dwa lata przed ukończeniem służby wojskowej ożenił się. Nim ukończył 40 lat prowadził bardzo ruchliwy tryb życia. Pracował w różnych zawodach i stale przenosił się z miasta do miasta. Wreszcie zamieszkuje w Laguna Beach w stanie Kalifornia, a po 10 latach w Welley Center. Tam zaczyna zajmować się nauką a konkretnie astronomią, która go bardzo zawsze interesowała. Każdą wolną chwilę spędza przy teleskopie. Obserwuje i fotografuje różne ciała niebieskie. Po sześcioletnim pobycie w Welley Center, w czasie deszczu meteorytów dostrzega poraz pierwszy w swoim życiu Niezidentyfikowany Obiekt Latający. Prócz niego widziało to zjawisko wielu jego znajomych. Powyższe wydarzenie George Adamski dokładnie opisał w książce „Latające Spodki wylądowały". Początkowo w ogóle nie myślał, że może to być UFO. Uważał, że mógł to być jakiś sterowiec wynaleziony w czasie wojny. Zdziwiło go jednak, że obiekt był całkiem ciemny i w jednej chwili poleciał pionowo do góry i zniknął gdzieś w przestrzeni, pozostawiając za sobą widoczną jeszcze przez kilka minut smugę ognia. Tego sterowiec wykonać nie mógł.

W owym czasie Adamski uważał istnienie UFO za zupełnie nierealne i całkowicie niemożliwe. W ciągu następnych lat bardzo zmieniło się jego podejście do tej sprawy. Wydał książkę o UFO, w której prócz faktów i hipotez znalazły się wykonane przez niego zdjęcia Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Zaledwie w kilka miesięcy po wydaniu książki uznano Adamskiego za fałszerza. Opinie na temat tego co sfotografował były podzielone. Jedni uważali, że to zdjęcie lampy gazowej, inni, że jest to aparat do karmienia kurcząt odwrócony do góry nogami, a jeszcze inni, że jest to pokrywka lodówki na napoje. Podczas swoich podróży po USA wywoływał śmiech i drwiny, ale także zainteresowanie UFO-logią. W wieku 68 lat Adamski wyjechał na tournée po Europie, gdzie wzbudził ogromne zainteresowanie. Adamski zmarł 23.IV.1965 roku.

Wariat?

Adamski już w momencie przeprowadzki do Welley Center jest mistrzem, który ma oddanych sobie kilkudziesięciu uczniów. U George'a Adamskiego na wspaniałym gruncie jakim był wpajany od najmłodszych lat mistycyzm zaczęła się rozwijać paranoja. W jego świadomości prawdziwe wydarzenia zaczęły się pojawiać jako barwne omamy. Z postępem choroby zaczęły występować również urojenia. W swojej książce pisze, że jakiś wewnętrzny głos kazał mu się udać na pustkowie. Tam wylądował statek kosmiczny z Wenus. Wysiadł z niego mężczyzna o imieniu Orthon. Adamski zaprzyjaźnił się z nim do tego stopnia, że Wenusjanin pozwolił mu sfotografować swój pojazd, a nawet samego siebie. Orthon poprosił by Adamski dał mu do przebadania klisze. Ziemianin zgodził się na to. Po kilku dniach UFO przeleciało nad ogrodem Adamskiego i pozostawiło owe klisze. Jedna jej klatka była dziwacznie powycinana i porysowana. Po kilku próbach wywołania i po przerysowaniu udało się otrzymać w miarę czytelny obraz. Adamski stwierdził, że jest to list Wenusjan.

Adamski wydał następną książkę, w której pisze, że bracia Orthona przylecieli po niego swym UFO. Zabrali go na Wenus. W swej książce Adamski pisze o wielu dziwnych rzeczach jakie widział na Wenus.

Śmierć i... zmartwychwstanie

George Adamski umiera 6 dni po swej 74 rocznicy urodzin, a już następnego dnia wydarzył się „cud". A oto opis tego niezwykłego wydarzenia.

Ernest Arthur Bryant w czasie wojny był komandosem i marynarzem. Później pracował w służbie bezpieczeństwa, a w chwili wydarzenia się „cudu" miał 51 lat i był strażnikiem w więzieniu. Pewnego dnia wybrał się na samotny spacer. Nagle kilkanaście metrów przed nim wylądowało UFO. Z pojazdu wysiadły 3 osoby. Gdy ściągnęły hełmy miały kłopoty z oddychaniem, które przeszły po kilkunastu minutach. Później w czasie przesłuchania Bryant zeznał, że jeden z nich przedstawił się jako Yamski lub Adamski (tego Bryant dokładnie nie pamiętał). Gdy Bryant zapytał skąd przybyli, odpowiedzieli że z Wenus. Gdy zauważyli jego niedowierzającą minę powiedzieli by czekał dowodu. 7 czerwca około 22^{30} Bryant ujrzał niebieskie światło zbliżające się z góry. Od razu pomyślał, że to UFO. Następnego dnia jadąc na motorze do pracy znalazł kilka kawałków nieznanego metalu, kawałek pergaminu z greckimi słowami i fiolkę z szarym piaskiem.

Radosław Małecki
ul. E. Plater 28
11-400 Kętrzyn

no-wschodnim kierunku. Po jakichś dwu godzinach Karol zatrzymał się raptownie.

— Co się stało? — spytałem półgłosem.

— Przed nami polanka — szepnął. — Zaczekaj tu na mnie.

Wręczył mi swą sakwę i schylony począł się przemykać między drzewami. Chociaż widoczność w tym miejscu była, jak na leśne warunki, bardzo dobra — wkrótce straciłem go z oczu. Najprawdopodobniej zaczął się czołgać.

Siadłem pod pniem sosny, przyłożyłem lornetkę do oczu i skierowałem ją w stronę, gdzie oddalił się mój przyjaciel. Jak on, u licha, wypatrzył tę polankę? Ja nigdzie nie mogłem jej dostrzec. Pociągnąłem mocno nosem lecz nie poczułem charakterystycznego zapachu palącego się drewna. Co prawda, nieznany wędrowiec mógł do tej pory zagasić ognisko.

W szkłach lornetki widziałem jedynie rzędy pni, blaski słońca na leśnym runie i jakieś cienie poruszające się po ziemi i szybko znikające. Mogły to być równie dobrze ptaki jak i małe czworonogi: zające, lisy, rysie czy gronostaje. Lecz gdzież ta polana?

Wytrzeszczałem oczy, pocierałem szkła lornetki, aż wreszcie zupełnie przypadkowo, ujrzałem na tle ciemnozielonej puszczy plamę jaśniejszej zieleni.

Minęło pół godziny, może nieco więcej, gdy dostrzegłem wracającego Karola. Zmierzał prosto ku mnie, zupełnie się nie kryjąc.

— To nie ta polanka — powiedział. — Nie ma na niej nikogo i ani śladu ogniska. Niech to licho porwie! Dawno mi się coś podobnego nie przytrafiło. Chodźmy. W gardle mi zaschło, a blisko stąd płynie strumień.

„Ano — pomyślałem — albo zawiódł nas kompas, albo Karol wybrał błędny kierunek drogi". Nie czyniłem mu wyrzutów, dostatecznie był strapiony.

Po niecałych dziesięciu minutach dotarliśmy do niewielkiej polanki. Wyglądała uroczo, porośnięta gęstą wiosenną trawą, wśród której tu i tam bielały, niebieszczyły się lub czerwieniły polne kwiaty. Stąpało się po tej trawie bezszelestnie, jak po dywanie.

— Chyba rozbijemy tu biwak — zaproponował Karol.

Bardzo ochoczo na to przystałem. Cisnęliśmy bagaże przy brzegu strumyka wypływającego z lasu i ponownie ginącego w jego głębi. Najpierw zaspokoiliśmy pragnienie. Następnie Karol myśliwskim kordelasem zakreślił koło na trawie, a potem bardzo sprawnie oczyścił jego powierzchnię z wszelkich roślin. Zawsze tak postępuje doświadczony wędrowiec, zarówno na prerii, jak w puszczy. Chodzi o to, by uniknąć pożaru. Dwukrotnie widziałem pożar prerii: huczący płomień, gnający po równinie z szybkością pospiesznego pociągu; żar buchający jak z hutniczego pieca fontannami iskier. Do tego dochodziła duszność. Pożar pochłaniał tyle tlenu, że nie starczało go ludzkim płucom. Gdyby nie Karol, nie uniknąłbym wówczas okropnej śmierci. Teraz wspomniałem na tamte zdarzenia i wydobywszy nóż myśliwski zacząłem pomagać towarzyszowi.

Gdy wreszcie miejsce pod ognisko zostało dokładnie skopane, ruszyłem między drzewa, by nazbierać suszu i poobłamywać co niżej rosnące gałęzie. Niestety, nie mieliśmy siekiery, by zrąbać jakiś grubszy chojak. Przed nocą (a noce bywają tu chłodne) należało zebrać stos paliwa. Karol przyszedł mi z pomocą i mimo, że uwijaliśmy się żwawo, minęła dobra godzina, nim zapas opału uznaliśmy za wystarczający.

— A teraz, Janie, zajmij się pitraszeniem. Jak mi wiadomo, kucharz z ciebie doskonały.

„Pitraszenie", jak je nazwał Karol, nigdy nie było moim hobby, a zmywania tłustych naczyń w zimnej wodzie po prostu nie cierpiałem.

— Dziękuję za pochwałę — bruknąłem. — Lecz wydaje mi się, że to twoja kolej.

— A kto przygotuje schronienie na noc?

— Po co? — zerknąłem w niebo. — Na pewno nie będzie deszczu.

— Nie chodzi o deszcz, lecz o ciepło. To Nowa Fundlandia, a nie preria południowego Teksasu.

Miał rację, więc skapitulowałem. Wiedziałem, o jakie schronienie mu chodziło. Otóż, gdy się siedzi przed ogniskiem, płomień przyjemnie grzeje w piersi i twarz. Lecz jednocześnie chłód dmucha w kark i plecy. Przy niskich temperaturach powietrza bardzo to jest dokuczliwe. Jaka jest na to rada? Znają ją wędrowcy lasów i pól. Sekret polega na zbudowaniu szałasu o jednej tylko, lecz bardzo grubej i szczelnej ścianie. W takim celu wbija się przed ogniskiem dwa rozwidlone na końcach konary w odległości dwu–trzech kroków jeden od drugiego.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 26 (4421)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 81-36-58.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobyłecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red. Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne: Magdalena Piotrowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Barbara Boguszewska

DSP Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 674/G/88. U-11.
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

PAN MĄDRALA wchodzi do pewnego biura i chce rozmawiać z dyrektorem.

— Dyrektora nie ma! — odpowiada twardo sekretarka.

— Proszę pani — uśmiecha się pan Mądrala — gdyby dyrektora nie było w gabinecie, pani nie pisałaby pilnie na maszynie, tylko rozwiązywała sobie krzyżówkę...

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC 21

Pagórek opadał łagodnym zboczem ku leśnej gęstwinie. Weszliśmy w głąb. Karol z kompasem w dłoni. Orientacja w gęsto zarośniętym lesie — to umiejętność, którą można osiągnąć dopiero po bardzo wielu latach wędrówek przez bory. Celowali w tym traperzy, lecz ilu z nich zginęło bez śladu? Posiadali tę umiejętność przewoźnicy i tragarze transportujący towary do handlowych placówek Kompanii Zatoki Hudsona oraz tak zwani bacwoodsmeni — pionierzy osadnictwa zagospodarowujący pobrzeża lasów, żyjący z polowania, a czasem z uprawy wydartych borów pól. Otóż Karol, mimo że od kilku lat korzystał z pomocy kompasu, należał do tych, którzy potrafią znaleźć drogę wśród zupełnych bezdroży. Oczywiście — właściwą drogę. Ja takiej sztuki nigdy nie osiągnąłem, ale też moje letnie wyprawy wiodły przez prerie, niekiedy przez góry — tereny słabo lub wcale nie zalesione. Natomiast Karol od lat penetrował lasy północnego wschodu Kanady. Dlatego też ani przez chwilę nie wątpiłem, że dojdziemy do polanki najkrótszym szlakiem. Lecz nasza wędrówka mogła trwać tak długo, że nim ją zakończymy, nad polanką nie będzie już ani dymu, ani ogniska, ani osoby, która je rozpaliła. „A jednak — pomyślałem na pociechę — zostanie ślad: wypalony krąg traw i tropy wiodące do... Właśnie! Dokąd?"

Posuwaliśmy się z konieczności bardzo powoli. Drogę raz po raz zagradzała gęstwa krzaków lub pnie drzew rosnących tak blisko siebie, że nie zdołałby się między nimi przecisnąć najszczuplejszy człowiek. Poza łagodnym szumem wiatru wiejącego gdzieś w górze między wierzchołkami drzew i poza rzadkimi głosami niewidocznych ptaków, a niekiedy łopotem skrzydeł, panowała głęboka cisza. Przemykaliśmy od drzewa do drzewa niby dwa bezgłośne duchy.

W samo południe, gdy żółte plamy słońca, gdzieniegdzie oświetlając poszycie mchów i paproci, stały się wyraźniejsze, a temperatura powietrza wzrosła, siedliśmy pod potężną sosną, zrzucając z ramion ciężkie sakwy. Rozmawialiśmy szeptem jak gdyby w obawie przed zakłóceniem leśnej ciszy.

— Jak tam, Karolu?

— Wszystko w porządku — odparł spoglądając na kompas. — Posuwamy się we właściwym kierunku i chyba przebyliśmy już połowę drogi. Oceniając na oko.

— Oceniając na oko — powtórzyłem półgłosem. — To zawodne obliczenie.

— Jak dla kogo. Mnie, jak dotychczas, nie zawiodło. Zresztą, przekonasz się.

Skierowałem lornetkę w daleką głąb puszczy.

Szeregi żółtozłocistych pni sosen wznosiły się nieskończonymi szpalerami hen, daleko, tam gdzie szarość cienia zamazywała kontury i wszystko ginęło w zielonkawym mroku. Las wydawał się wymarły, lecz gdy wpatrzyłem się baczniej, dostrzegłem w odległości jakichś stu jardów płowy kształt drobnego czworonoga przemykającego między wysokimi krzakami czarnych jagód. Na chwilę przystanął, potem pokicał i znikł w gąszczu.

— Widziałeś, Karolu?

— Aha. Zając. Już zrzucił swe zimowe okrycie. Przydałaby się pieczeń z zająca.

— Zapolujemy?

— Nie dzisiaj. Nie będziemy strzelać, by nie spłoszyć dwunożnej zwierzyny. Musimy nadal korzystać z naszych zapasów, przynajmniej do jutra.

Nie sprzeciwiałem się, lecz tęsknie westchnąłem. Przecież mieliśmy w tych wspaniałych lasach polować! Seria dziwnych wypadków pokrzyżowała nasze plany.

Odpocząwszy nieco ruszyliśmy dalej w tym samym północ-

Dokończenie na str. 7